Nr 2. Kraków, 10 Stycznia 1891. Rok I.

„KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna

Redakcya ul. Szewska Nr. 5.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym, oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Ze świata.

Mowa się mówi, a chleb się jé, powiada ruskie przysłowie, a chociaż Prusacy po rusku nie umieją, to jednak widocznie taki sam rozum mają jak Rusini. Pisał *Krakus* w pierwszym numerze o tem, że Bismark wygnał blisko 40.000 naszych braci Polaków, z Wielkopolski i Prus Zachodnich, którzy się byli porodzili w Królestwie Polskiem, czyli tej części Polski, która się dostała przed stu laty pod Moskala. Teraz gdy Bismark poszedł na bok, zaczęli Prusacy coraz głośniej się domagać tego, żeby ten rozkaz nieludzki został zniesiony, jako że mowa się mówi, a chleb się jé, a choć rękami polskiemi zarobiony, chleb jednak smaczny. Rząd pruski usłuchał tego wołania swoich własnych poddanych i wydał teraz pozwolenie, żeby lud roboczy z Królestwa mógł do Wielkopolski i Prus Zachodnich na robotę przychodzić. To pozwolenie okrojone zostało jednak pod trojakim względem. Najpierw wydane zostało tylko na trzy lata, a powtóre tylko dla nieżonatych, a po trzecie tylko na latowe miesiące. To rozporządzenie znaczy więc tyle, że póki Polacy potrzebni, to dobrzy, jako mówi przysłowie: „kiedy bieda to do żyda, a po biedzie, idź sobie żydzie.“ Tylko że Polacy nie żydy i nie są z Palestyny rodem, jeno na polskiej ziemi Pan Bóg ich osadził, więc to wyganianie i wpuszczanie nie bardzo się z wolą Bożą zgadza.

Ale takie to już teraz czasy, że ruskiego przysłowia wszyscy się trzymają i to nietylko w Europie ale i w Ameryce. Mnogo tam narodu naszego już poszło, a gdy coraz nowi przychodzą, więc coraz bardziej ku północy w Ameryce się posuwają. Ale tam na północy mieszkają ludzie, którzy do Ameryki nie przywędrowali, tylko się tam porodzili. Tym przeto coraz ciaśniej w Ameryce, więc rabują i mordują Europejczyków, którzy ich odwieczne siedziby nachodzą i niejeden tam z naszych ludzi marnie i bez wieści zginął pod siekierą tych na pół dzikich Amerykanów, których zowią Indyanami. Teraz na północy w Ameryce toczy się krwawa wojna. Państwo, które się zowie Stany Zjednoczone, wysłało wojsko przeciw tym Indyanom, ale to państwo ma wojska mało, więc odrazu tych dzikich zgnieść nie może, i samo ponosi wielkie straty, bo Indyanie bronią się zaciekle. Wszelako ani broni palnej ani armat nie mają, tylko po staremu z łuków strzelają, pałkami i siekierami za okopami się bronią. Ale skoro wojsko amerykańskie ich zwycięży, wtedy morduje ich co do nogi, tak, że niewiasty i dzieci nie znajdują litości ani przebaczenia. To się nazywa wojna o chleb, ale bodajby ten chleb, co wyrośnie na ziemi krwią oblanej, był na zdrowie tym, którzy go łakną w cudzej ziemi.

Ta Ameryka dała się we znaki Europie pod koniec przeszłego roku bardzo dotkliwie. Powstały tam różne państwa i państewka i zaczęły gospodarować bardzo śmiało. A że do gospodarki takiej było potrzeba pieniędzy, więc pożyczały te państewka w Europie. Różni bogacze i bankierzy dawali pożyczki, aż pod koniec roku przyszła kréska na Matyska i pokazało się, że ci Amerykanie pożyczać umieli doskonale, tylko wedle oddania mieli szum w uszach i o tem jakoś słuchać nie chcieli.

Myślisz może, miły czytelniku, że ciebie to ani parzy ani ziębi, że tam bogate bankiery zbankrutują? Ale to nieprawda, bo to taka familia, która ze sobą trzyma bardzo ściśle i to zaraz wszyscy poczują, którzy pieniędzy potrzebują pożyczyć, a ktoby ich teraz nie potrzebował! Teraz nietylko kupcy ale i rolnicy żyją tą wiarą, co się kredytem zowie, więc jak bogaci z pożyczaniem się drożą, to znaczy, że drożej od pożyczki płacić każą.

Teraz owo ruskie przysłowie o mowie co się mówi i chlebie, który jeść trzeba, powtarzają między sobą nawet dobrzy przyjaciele. Tak, na ten przykład Austrya jest z Niemcami w przyjaźni, ale oba państwa trzymają się starego przysłowia: kochajmy się jak bracia, rachujmy się jak żydy. Chodzi mianowicie o handel między Austryą a Niemcami, przy którym jednoby chciało zarobić, a drugie też nie stracić. Już przez cały grudzień toczyły się układy w Wiedniu, co które pań-

stwo ma spuścić taniej w handlu i przewozie. My Polacy w Galicyi mamy tylko rolnictwo, które nas żywi, a fabryk ani przemysłu wielkiego nie mamy. Więc namby chodziło o to, żeby Niemcy zmniejszyli cło nałożone na nasze zboże i drzewo, żeby go nasi rolnicy mogli posyłać więcej do Niemców na sprzedaż, bo i tak nasze rolnictwo walczy z biedą. Nie wiadomo jednak jeszcze jak się skończą te układy, a jak się skończą, to *Krakus* doniesie.

Dwa sejmy tylko teraz w Austryi obradują i to dolno-austryacki w Wiedniu i w Pradze sejm czeski. Ten sejm zwołany został dlatego, że Czesi mają się pogodzić ze swoimi Niemcami, t. j. tymi, którzy z północnej części tego kraju osiedli już oddawna. Kochają się tam te Czechy z Niemcami, jak pies z kotem i w Radzie państwa w Wiedniu co chwila spory przez ostatnich lat pięć toczyli Wreszcie miało już za staraniem rządu przyjść do zgody i starzy Czesi już przystawali na pewne warunki, które rząd przedłożył. Ale tymczasem t. zw. Młodzi Czesi nie chcą słuchać o tem i dlatego jeszcze teraz rząd próbuje w Pradze, czy się nie da jako tej zgody załatać. *Krakus* myśli, że słomiana zgoda jest lepsza niźli złoty proces, bo Niemców z kraju i tak się nie pozbędą. A przytem jest jedna rzecz, która Czechom cięży na sercu, t. j. wystawa, którą na ten rok zapowiedzieli, a w niej udział całej ludności, t. j. Czechów i Niemców byłby potrzebny. Taka wystawa może przynieść wielkie korzyści dla kraju, jeśli się uda, ale może kosztować bardzo wiele, jak się nie powiedzie. I dla sprawy i dla wystawy byłaby więc zgoda korzystna, bo mowa się mówi, a chleb się je. Dla sprawy byłaby zgoda korzystna, bo w narodzie czeskim robi się rozdwojenie i niezgoda, a niezgodą jeszcze żaden naród się nie wzmocnił. Czesi tworzyli w Radzie państwa jedno ciało, tak jak Polacy i razem z Polakami trzymali. Jeśli się rozdwoją, to niewiedzieć kto wygra na tem rozdwojeniu, ale oni pewnie sami na tem nie zyskają, jeśli jedni pójdą do lasa, a drudzy do Sasa. O tem będzie *Krakus* jeszcze musiał nieraz pisać, więc na dziś na tem poprzestaje.

Zjazd delegatów Kółek rolniczych
powiatu krakowskiego.

W Krakowie odbył się d. 30 grudnia zeszłego roku zjazd delegatów Kółek rolniczych powiatu krakowskiego. Sala, w której zjazd się odbywał, szczególny przedstawiała widok: na jednych i tych samych ławach do wspólnej pracy zasiedli włościanie w sukmanach, księża w sutannach, właściciele większych majątków, nauczyciele wiejscy i szkół rolniczych, ludzie poważni z miasta Krakowa. Patrząc na zebranych, widziało się naocznie, że do ważnej i dobrej pracy stanął społem naród, wszystkie jego członki. Taka praca wspólna będzie niezawodnie pożyteczna, tem więcej, że nie brakło jej błogosławieństwa, którego udzielił Jego Eminencya Ksiądz Kardynał Książę-Biskup Krakowski, podnosząc ducha obradujących wzniosłemi słowy, już wydrukowanemi w *Krakusie*.

Zjazd wykazał, że do roboty jest dużo; że są sprawy pilne, których szybkiego załatwienia domagać się muszą mniejsi rolnicy, i to rolnicy nietylko powiatu

HISTORYA
O KŁÓTNIACH SZELIGÓW I BERDYSZÓW,
dwóch kmiecych rodzin w Gajowie,

1 i jak się pogodzili ze sobą.

Ci, co się staremi dziejami zajmują, w księgach odwiecznych siedzą i szperają, wiedzą dobrze, jak to nieraz na świecie swarzyli się królowie z królami, wielcy panowie z innymi wielkimi panami. Wiedzą także, ile to złego z tego powstało, ile jedni i drudzy na tem cierpieli, ba, nawet i tacy, którzy temu nie byli winni. Święta zgoda zawsze najlepsza! Ale chociaż mądrzy ludzie wiedzą i piszą o tych smutnych historyach, nie wiedzą pewnie, że i w Gajowie, sąsiedniej wsi odemnie, od dawna, bo od sześćdziesięciu lat prawie, była wielka kłótnia i niezgoda między dwiema najbogatszemi kmiecemi rodzinami, która także niemało narobiła złego, a teraz, chwała Panu Bogu, szczęśliwie się zakończyła. Bo juścić, jeśli królowie się swarzą, to słychać w ich królestwach, a nawet na całym świecie; jeśli zaś kmiecie gajowscy, to tylko w Gajowie, chyba że tam ludzie z sąsiedztwa o tem pogwarzą, jak na ten przykład ja dzisiaj.

Gajów piękna to a wesoła wieś. Jest ci tam, jak to powiadają: mąka i łąka, grzyby i ryby. Pola dobre, pszeniczka na nich stoi jak mur — łąki i pastwiska doskonałe, że się bydło pięknie chowa — jest ładny lasek i kilka rybnych stawów, tak, że całe przysłowie stosuje się do Gajowa. Na niewielkiem wzgórzu stoi dwór murowany — tuż przy nim z pośród odwiecznych lip wygląda kościół starożytny i piękny — niżej plebania i organistówka, a wokoło wzgórza, wzdłuż dróżyny, rozłożyły się chałupy kmieci i zagrodników, białe, schludne, a zasobne widać, bo i stodółki niemałe, i innych pobudynków siła, jak na pańskim folwarku. Poniżej wzgórza mruczy sobie strumień obsadzony olchami, i klekocze młynek — a dalej już na wschód i zachód bujne pola to dworskie, to chłopskie dobrze uprawione, ciągną się z jednej strony pod las jodłowy, a z drugiej spuszczają ku zielonym łąkom, co je niebieski wężyk rzeczki przekrąża. Duża znać wieś, bo ledwie daleko

krakowskiego, ale całego kraju. Dlatego zjazdowi temu bliższą uwagę poświęcić należy.

Przedewszystkiem delegaci pojedynczych Kółek nietylko z powiatu krakowskiego, bo na zjazd zgłosili się na ochotnika i delegaci Kółek z sąsiednich powiatów — zdawali sprawę z tego, co się u nich dotąd zrobiło, jak te Kółka nietylko dla gospodarki są przydatne i pomocne, ale nadto i dla ducha, rozumu i serca pożytek przynoszą. I tak delegat Czernichowski wykazał, że u nich widoczny jest wpływ Kółka na podniesienie gospodarstw włościańskich; że Kółko zadzierżawiło wapiennik i urządziło cegielnię do spółki, a na tych interesach dobrze wychodzi. Mówił ten delegat Czernichowski, że przy Kółku powstała kasa pożyczkowa i ta ma kapitału około 30,000 złr., ale znając ludzi na miejscu, pożycza pieniędzy tylko na podniesienie gospodarstw, a nie na zmarnowanie. Kółko Czernichowskie pragnie wreszcie zbudować własny dom i przystępuje do tego z wiarą we własne siły, których dowody złożyło. W Czernichowie są dotąd 3 chrześciańskie sklepiki prywatne; własnego sklepu dotąd Kółko niema, ale tego sklepu bardzo pragnie. Mówił wreszcie delegat Czernichowski, jak to pięknie w Czytelni przy Kółku odbywają się co niedzieli odczyty, jak lud czyta pilnie dobre książki i gazety, jakie pożyteczne toczą się tam rozmowy. Bodajby cały nasz kraj podobnemi Kółkami mógł się poszczycić. Do takiego rezultatu w Czernichowie doprowadziła *wspólna praca wszystkich członków jednego narodu*, praca duchowieństwa, nauczycielstwa i ludu wiejskiego.

Inne Kółka nie mogły dotąd jeszcze wykazać się podobnemi korzyściami; bo są to młode jeszcze szczepki, które w takie samo drzewo jak Kółko czernichowskie wyróść mogą, ale i one już dzisiaj wydają owoc, i one niosą pomoc i gospodarczą i duchową swoim członkom, choć w mniejszych rozmiarach.

Dwa życzenia objawiali zgodnie wszyscy delegaci. I tak domagali się, prosili się gorącemi słowy o zakładanie Czytelni, lub o dostarczanie nowych dobrych książek dla istniejących Czytelni, bo gdzieniegdzie ludzie po kilka razy już przeczytali te same książki. Po drugie, wskazywali delegaci, jako niemniej ważne zadanie: zakładanie sklepików chrześciańskich po wsiach. „Póki żydzi siedzą po karczmach, mówił włościanin Mokśa z Wyciąż, to nam strasznie trudno pracować nad sobą, to nasza praca bardzo powoli postępuje. Karczmy należy zastąpić sklepikami i gospodami chrześciańskiemi.“

Życzeniom delegatów Kółek rolniczych co do zakładania nowych czytelni i dostarczania nowych dobrych książek, uczyni zapewne zadość Krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej. Co zaś do zakładania sklepików chrześciańskich toczyły się narady nad tem, jak się wziąć do tego. Że takie sklepiki mają powodzenie i niosą pożytek, to już rzecz wiadoma, a na zjeździe stwierdził to delegat Kółka rolniczego z Drogini. Wykazał on, że „wspólnemi siłami, przy pomocy właściciela większej posiadłości p. Bogusława Bzowskiego, Kółko drogińskie założyło sklepik, że co roku trzy lub cztery razy obraca towarem i kupuje za każdym razem tego towaru za 100 lub 150 złr. Ludzie dostają dobry towar i tańszy niż u żydków. Ale to żydkom tak się nie podoba, że umyślnie drożej sprzedają towar

---

gdzieś widać rzekę wielką, a za rzeką inne wsie i sadyby.

Gajów słynie zamożnością pana i chłopów. Mówią o niejednym, że ma konewkami cwancygiery i talarki w domu, czego dziś u nikogo w mieście nie uświadczy. Gospodarstwo idzie jak z płatka: bo i pan dobry i ludzie pracowici. Chociaż pańskiego już nie ma, zachował się w Gajowie zwyczaj pomagania sobie nawzajem. Pan nie żałuje żadnemu chłopu ani drzewa na budowlę, ani pastwiska za mierny odrobek, a jeżliby, czego Boże broń, zgorzał, to i za darmo; pani poratuje, gdy kto chory; proboszcz, poczciwy starowina, pomaga co może, a uboższemu ostatniej posługi nie żałuje, choćby mu nie zapłacono. Ale też i ludzie uczynni i wdzięczni. Robotnika nigdy nie brak, a jak pan zawoła, to rojem garną się żniwiarze i żniwiarki, i nie zdarzyło się, aby który poszedł za granicę dla kilku krajcarów więcej, albo żeby panu, dla nieżyczliwości ludzkiej, zboże na pniu zrosło. Sam widziałem, jak przy niepewnej pogodzie, chłopi gajowscy z własnej ochoty przyszli na tłokę po miesiączku, co wdział lisią czapkę, i bardzo jakoś deszczem groził, a pan nazajutrz zobaczył stojące kopy na łanie. Ucieszyło się też uczciwe panisko i wyprawiło sute okrężne, a panicze młodzi wyhulali pracowite żniwiarki gajowskie, i pan sam zaczął taniec z starą Tomaszową, a pani ze starym Tomaszem Szeligą.

Z tego com wam dotąd opowiedział, zdawałoby się, że ten Gajów, to raj prawdziwy. Gdzie tam! „niema takiego kącika, gdzieby nie było krzyżyka“. Otóż i w Gajowie był krzyżyk. Cały tydzień było spokojnie, jak makiem zasiał — ale za to w każdą niedzielę, w każde święto tartas i rwetes! Ledwie się skończą nieszpory, aliści wszyscy do karczmy, a jeszcze byś pacierza nie zmówił już krzyk i bitki. Często musiał sam pan lub proboszcz wdawać się w sprawę i rozganiać. Myślałby kto, że gajowianie byli wielcy pijacy— ale i to nie. Pan, chcąc przeszkodzić pijatykom, wypędził z karczmy żyda arendarza, co to zwykle ludzi do kieliszka nawodzi, i osadził w niej własnego sługę, statecznego i poczciwego człowieka, aby szynkował. Ten miał wyraźny rozkaz, aby ludzi ile możności wstrzymywał, a na bórg nie dawał. Nie byli więc gajowianie

hurtem w Krakowie, gdy się dowiedzą, że to dla sklepiku chrześciańskiego w Droginі. Trzeba nam więc odpowiedniego chrześciańskiego składu głównego, bo choć jesteśmy ludem ubogim, to pracować i ratować się chcemy!“ Delegaci Kółek z Czyżyn i Łęgu wykazali, że sklepiki idą dobrze, ale potrzebaby im pożyczki, bo ze skromnych bardzo powstały funduszów.

Kiedy tak jeden za drugim delegat wypowiedział, jak to ludzie po wsiach pragną zakładania sklepików chrześciańskich, to po ich mowach zaczął się zastanawiać profesor szkoły rolniczej z Czernichowa, pan Stefczyk, jakby to najkrótszą i najlepszą drogą można dojść do tego, żeby tak upragnione sklepiki mogły najliczniej powstawać, żeby te sklepiki mogły nietylko sprzedawać wszystko, co we wsiach ludziom potrzebne, ale żeby te sklepiki z czasem mogły zastąpić i owych kupców-żydków, którzy dziś z taką korzyścią dla siebie cały handel w kraju w swem ręku trzymają. Opowiedział p. Stefczyk prawdziwemi i dosadnemi słowami, co się to u nas po targach i jarmarkach dzieje, jak włościanin a nawet większy właściciel zdany jest zupełnie na łaskę lub niełaskę handlarza-żyda, jak ten handlarz wyzyskuje swoje stanowisko. Bronić się przeciw temu trzeba wszelkiemi siłami; trzeba dążyć do tego, by powoli i my mogli się drogą zyskowną uczciwego handlu dorabiać po wsiach i miasteczkach, jak to dzieje się gdzieindziej. U nas, jak dalej p. Stefczyk mówił, stosunki na targach dochodzą już do tego, że tak zwani odbijacze, drągale obdarte, bez grosza w kieszeni, krzykiem i groźbami usiłują zastraszyć gospodarzy i zmusić ich do pozbycia się za bezcen plonu ciężkiej swej i żmudnej pracy. Nieraz im się to udaje owym odbijaczom, bo w niektórych miasteczkach policya nie bardzo tęgo przestrzega porządku na targach i jarmarkach.

Ale nietylko pieniężną stratę ludziom w kraju przynosi to, iż cały handel skupiony jest w ręku nie naszem. P. Stefczyk opowiedział, czem to jest właściwie karczma na wsi. Kto ma oczy otwarte, ten widzi to dobrze i czuje na każdym kroku, dlatego bliżej tu o tem mówić nie trzeba. Tych, co mają oczy wódką zamglone, trudnoby było przekonać. To jedno można powiedzieć, że z karczmy i przez karczmę wszystko złe wychodzi i przechodzi. Ona jest, jak grząska topiel. Kto raz na tej topieli nogę postawił, musi przepaść w błocie; im głębiej w nie wpada, tem większe męki i nieszczęścia przechodzi.

Czuje to lud nasz i wie o tem, a przytoczyliśmy już na dowód w tej mierze słowa włościanina Moksy.

Przytoczyć jeszcze możemy słowa, wypowiedziane na zjeździe przez p. Zemlika z Zawoji, wielkiej góralskiej wsi pod Babią górą. Zawoja liczy 6,000 mieszkańców. P. Zemlik wyjaśnił, że u nich sklepikowi dobrze się powodzi, że we wsi mają aż 12 rodzin żydowskich, trudniących się handlem, a wszystkim tym rodzinom żydowskim dobrze się powodzi. Przestrzegał wreszcie p. Zemlik przed karczmami, a Zawoja będzie dążyć do tego, by coraz więcej zakładać sklepików chrześciańskich. Prosił też ten delegat gorąco o założenie Czytelni w Zawoji. Bodaj tak wszędzie ludzie myśleli, toby im i nam, całemu narodowi lepiej było.

Idzie przecież o to, czy ludzie nasi mają uzdolnienie

---

pijakami — jeno ich co innego do karczmy i bitki ciągnęło.

Najzamożniejszymi kmieciami w Gajowie byli, jakeśmy rzekli, Szeligowie i Berdysze. Każdy miał po kilkadziesiąt morgów dobrego gruntu, trzymał cztery dziarskie koniki i po parze wołów, a krowy i jałownik nie ustępowały pańskiemu. Mieszkali w sąsiedztwie najbliższem, tak że płoty zagród stykały się z sobą, a chałupy patrzały na siebie. Nikt lepiej nie gospodarzył w całej wsi, nikt tak nie pracował jak Berdysze i Szeligi. Na Tomaszu Szelidze i Macieju Berdyszu zawsze najlepszy kożuch, i sukmana jak z igły — na Maciejowej i Tomaszowej najlepsza spodnica i chustka — a korale jak orzechy włoskie. Ale cóż z tego: Szeliga nie cierpiał Berdysza, a Berdysz Szeligi. Jeżeli się spotkają, nie powiedzą sobie: Niech będzie pochwalony— ale jeden i drugi klną pod nosem i patrzą na siebie jak zbóje. Jeżeli Maciejowa spotka Tomaszową, to nuż jedna na drugą wołać: a ty taka, a ty owaka! aż Tomasz i Maciej wylecą z chałup z kijami i bitka gotowa. Jeżeli parobek Tomasza jedzie na wozie, a spotka się z Jankiem, synem Berdysza, jeden drugiemu nie wyminie na włos, jeno lecą na siebie jak opętani i nuż batami się smagać aż się pokrwawią, a kiedy się przecie jakoś wyminą, to jeden na drugiego woła zdaleka: Poczekaj bestyjo! odekpi się to, odekpi! A co najgorsza, cała wieś podzieliła się: jedni trzymają z Berdyszem, drudzy z Szeligą. Jeśli się żenią, to tylko między swemi, jeśli stawiają chałupę, to po stronie tego albo owego, na Berdyszowskim lub Szeligowskim końcu. Jeśli się kto Gajowiana pyta: zkąd jest? to musi potem spytać: z którego końca? a Gajowian odpowiada: z Berdyszowego albo Szeligowego. Toż kiedy się zejdą w karczmie, nie ma rady: muszą się kłócić i swarzyć, od słowa do słowa, a jużci bitka gotowa — a lgną do karczmy jak na lep, nie żeby się zabawić, jeno żeby się wybić. Jednej niedzieli wybije Berdyszowski koniec Szeligów, w drugą gotują się Szeligi, aby oddać Berdyszom wet za wet i to z procentem.

Co też to pan i proboszcz się natrapili! Jeden i drugi o zgodzie kazania prawi, pan we dworze, proboszcz w kościele. Proboszcz grozi, że nie da rozgrze-

do prowadzenia handlu? P. Stefczyk wyjaśnił, że katolicy po wsiach mogą prowadzić takie sklepiki i że są tacy ludzie po wsiach i miasteczkach, co spryt po temu potrzebny i zręczność mają, a na dowód mogą służyć ci, co już sklepiki dobrze prowadzą. Że nasze sklepiki nie wszędzie rozwijać się mogą, to przyczyna w tem, że brak w nich nieraz ścisłości administracyjnej, że brak im potrzebnego kapitału obrotowego, a po trzecie brak źródła, z którego towar w odpowiedniej jakości i po odpowiedniej cenie sprowadzaćby mogły. Radził więc p. dr. Stefczyk, aby utworzyć związek sklepików chrześciańskich w Krakowie, któryby zebrał odpowiedni kapitał i pośredniczył do nabywania potrzebnych towarów między Kółkami a porządnemi wielkiemi sklepami hurtownemi w mieście.

Tą sprawą zająć się ma wybrany na Zjeździe Zarząd powiatowy Kółek. Gdy on tę sprawę weźmie w ręce, a weźmie zapewne najrychlej, to wtedy poświęcimy jej obszerniejszą uwagę. Dziś zaznaczyć należy, że przecież w tej ważnej sprawie, tak blisko Kółka obchodzącej, zrobiono pierwszy krok. Dalszej szybkiej a skutecznej pracy oby Bóg błogosławił.

Do zarządu powiatowego, który ma zająć się sprawą sklepików chrześciańskich, wybrano bardzo rozumnie ludzi, którzy zasadzie wspólnej pracy najlepiej odpowiadają. Wybrano księdza wikarego Jelonka z Morawicy, profesorów szkoły rolniczej w Czernichowie pp. Stefczyka i Prażmowskiego, dalej p. J. Piwosza, naczelnika gminy z Branic i p. Wojtygę, nauczyciela z Bieńczyc.

Drugą sprawą, ważną pod względem gospodarczym, którą na zjeździe omawiano, to była sprawa *organizacyi wspólnego zakupna nasion* dla Kółek rolniczych w krakowskim i sąsiednich powiatach. Idzie o to, by można dostać nasiona z pewną siłą kiełkowania i po cenie przystępnej. Ostatniemi czasy dużo się w tej mierze popsuło i nieraz na kosztowny zawód niejeden gospodarz był narażony, gdy za swoje dobre pieniądze dostał kiepskie nasienie. Tak nadal być nie może.

Dzisiaj można wprawdzie sprowadzać nasiona za pośrednictwem Zarządu centralnego Kółek rolniczych we Lwowie, ale droga to daleka naprzykład dla włościan z powiatu krakowskiego. To też uchwalono na zjeździe założyć powiatowy skład nasion, a stacya doświadczalna w Czernichowie będzie badać dokładnie dobroć sprowadzonych nasion. Gdyby taka sama organizacya dała się zaprowadzić we wszystkich powiatach — a to przecież rzecz możliwa na ludzkie siły — w takim razie mogliby wszyscy rolnicy otrzymywać pewne pod względem kiełkowania, a tańsze niż dziś nasiona, za które tyle pieniędzy kraj nasz wydaje. Sprawę nasion omawiał prof. dr. Prażmowski ze szkoły rolniczej w Czernichowie, a w rozprawie brali udział delegaci.

Ostatnią wreszcie sprawą, jaką zjazd się zajmował, było to, żeby ci, co się uczą na nauczycieli wiejskich w szkołach zwanych seminaryami, mogli też podczas tej nauki poznać się nie teoretycznie tylko, ale praktycznie z rolnictwem, tak aby w szkołach wiejskich później dzieci włościańskie z tej tak potrzebnej nauki równie praktycznie korzystać mogły. W sprawie tej ważnej podamy obszerniejsze wyjaśnienie w przyszłym numerze *Krakusa*.

---

nia przy spowiedzi — a Berdysz i Szeliga niby się to godzą — tydzień albo dwa cicho — aliści dyabeł nie śpi, i zaczyna się dawna termedya. Proboszcz woła obu do siebie i grozi znowu:

— To ten, z przeproszeniem Dobrodzieja, psiawiara, Berdysz winien — mówił Tomasz.

— To ta bestyja Szeliga, krzyczy Maciej, i ani rusz ich pogodzić.

A ta niezgoda niby to chwast, co się w ziemię gajowską wkorzenił, trwa już pono sześćdziesiąt lat. Dziad Berdysza, jak Szeligowie gadają, zaczął. Berdysz utrzymuje, że dziad Szeligi. To pewno, bo i proboszcz tak powiada i pan z papierów dominikalnych doszedł, że się kłótnia zaczęła o kopce graniczne między rolami obu kmieci. Dziad jednego rozburzył kopiec i posunął go dalej, podczas gdy drugi był na wojaczce; a ten wróciwszy, zamiast się domagać sprawiedliwości u sądu, sam sobie ją zrobił, posunąwszy w innem miejscu kopiec o dwa zagony. Odtąd zaczęła się wieczna bitka; rokrocznie jeden drugiemu nie dał ani orać, ani zbierać; aż nareszcie, gdy raz byli oba pijani, wszczęła się między nimi kłótnia, od kłótni przyszło do cepów, które mieli w ręku, od cepów do nożów i oba pokaleczyli się śmiertelnie i pomarli oba. Powiadają, że nad kopcami granicznemi słychać często jęki bolesne i ludzie utrzymują, że to dusze obu nieboszczyków. Pastuch widział białe ich duchy, płaczące gorzkiemi łzami na miejscu, gdzie ciężki grzech naruszenia cudzej własności popełnili. Synowie ich, a ojcowie dziś żyjących w Gajowie kmieci, zamiast się upamiętać, szli dalej drogą ojców. Dawalić oni wprawdzie grubo na msze i na wywoływanie duszyczek pokutujących — ale nie pamiętali, że lepsza poprawa życia niż fałszywe nabożeństwo — że się modlili pod figurą, a tegoż samego dyabla mieli za skórą.

To też i oni smutny mieli koniec. Wdali się w prawo, ale zamiast czekać wyroku, robili sobie sami sprawiedliwość, jak przódy. Zamiast zaufać słuszności swojej sprawy, jęli przekupywać mandataryusza, a że to był człowiek nieuczciwy, więc nie skończył procesu, ale zostawił rzecz jak była, aby większe z nich mógł zyski ciągnąć. (*D. c. n.*)

Zakończyć to dzisiejsze sprawozdanie należy tem, że takie zjazdy będą się odbywały co roku. Oby i inne powiaty doprowadziły do tego, by takie wspólne a pożyteczne narady w całym kraju toczyć się mogły, by taka wspólna praca widoczną była wszędzie. Na zjazdach takich delegaci każdego powiatu mogliby wypowiadać swoje potrzeby, a zadaniem wspólnem byłaby praca nad zadośćuczynieniem tym potrzebom. Zjazdy takie mogą być węzłem, łączącym wszystkich ludzi dobrej woli.

Stary Grzegorz.

ARTUR GROTTGER

(objaśnienie do ryciny).

Głowa Chrystusa Pana, którą tu podajemy, jest dziełem zmarłego malarza Artura Grottgera. Był to między malarzami polskimi jeden z bardzo zdolnych i jeden z najmilszych. W dzieciństwie już okazywał pociąg i zdolności do rysunku, a z największem upodobaniem rwał się do rysowania żołnierzy i koni. Uczył się sztuki malarskiej w Krakowie, później w Wiedniu. W roku 1861 dał się poznać zbiorem rysuków, wyobrażających ówczesne wypadki w Warszawie, strzelania do bezbronnych, zamykania kościołów i t. d. Po tych nastąpił drugi zbiór rysunków, przezwany *Litwa*, a wyobrażający dzieje litewskiego włościanina poległego w boju z Moskalami. Na pierwszym obrazku wychodzi on z chaty, na drugim przysięga przed chorągwią, na trzecim pada trafiony kulą. W dalszym duch jego staje cicho w chacie i patrzy smutno na żonę i niemowlę. Na ostatnim obrazku żona zagnana w Sybir, okuta w łańcuchy, bez dziecka, które w drodze umrzeć musiało, pracuje w rządowych kopalniach: w niebieskiej jasności ukazuje się Matka Boska Ostrobramska, na pociechę i nadzieję przyszłego szczęścia. Obrazki to takie piękne, a takie smutne i pełne serdecznej litości nad nieszczęśliwymi, że się na płacz zbiera każdemu kto na nie patrzy.

Po *Litwie* wyrysował Grottger *Wojnę*: zawarł tu w kilku obrazkach nieszczęścia i okropności wojny. Obrazki te nabył cesarz Franciszek Józef do swoich zbiorów. Młody malarz zaczął być znanym i słynnym w świecie, miał też już i widoki powodzenia i dostatku, kiedy się rozchorował na piersi. Ostatniem jego dziełem, a może najpiękniejszem ze wszystkich, był *Pochód na Sybir*: na strasznym, głuchym, śniegiem zawianym stepie, w zapadającym nocnym zmroku stoi szereg pędzonych do Azyi powstańców. W ich twarzach i postawach widać wszelkie cierpienia i nędze: tęsknotę, żal, upadek sił, chorobę; u niektórych bliską śmierć.

Oprócz tych zostawił Grottger po sobie wiele ślicznych rysunków różnej treści: są wesołe i smutne, żołnierskie i wiejskie, są i pobożne do których należy ten Pan Jezus.

Umarł Grottger we Francyi, u wód do których dla poratowania zdrowia pojechał, w r. 1867. Zwłoki przewiezione do ojczyzny, pochowane są we Lwowie na cmentarzu Łyczakowskim.

Emigracya do Brazylii.

(Ciąg dalszy).

Dalszą swą podróż okrętem tak Nestorowicz opisuje:

„Służba okrętowa nie pozwala pozostawać za dnia, choćby najbardziej chorym, nawet na owych ciasnych i niedogodnych lódkach. Wszyscy muszą dzień spędzać na twardym pomoście, gdzie przebojem zdobywać trzeba miejsce. Niema też ani grzeczności, ani litości. Nie zważają ani na wiek, ani płeć, ani na chorobę człowieka.

„Takich doznając przyjemności płynęliśmy na okręcie parowym „Roma“, najpierw po morzu Śródziemnem wzdłuż brzegów Francyi, a później Hiszpanii, gdzie można było widzieć miasta Marsylię i Barcelonę. Wreszcie, minąwszy silną fortecę Gibraltar, co sterczy na wysokiej skale, znaleźliśmy się na oceanie Atlantyckim. Przez kilka godzin widać było zdala brzegi Afryki. Później i one znikły. Prócz błękitnego nieba, jakby stykającego się z szafirowemi wodami oceanu, nic już dojrzeć nie było można.

„Piątego dnia tej podróży wszczęła się dość silna burza, która towarzyszyła nam aż do wyspy św. Wincentego. Bałwany zalewały pokład; wszyscy dusili się w sypialni. Nareszcie spuszczono na dno morza kotwicę na długiej linie, żeby trzymała okręt w miejscu. Niedaleko widzieliśmy ląd, statek miał ztamtąd nabrać węgla na dalszą podróż.

„Kto tylko miał trochę grosza przy duszy, wysiadał z okrętu do łodzi i spieszył na ląd, by dotknąć stopą ziemi i pokrzepić siły na dalszą drogę obfitszym a zdrowszym pokarmem. Ale wszyscy doznali zawodu. Dwie brudne jadłodajnie portugalskie nie posiadały zapasów, by nakarmić nawet kilkadziesiąt osób; a tu kilkaset domagało się posiłku. Ja, choć pierwszą łodzią tam przybyłem, nic jednak dostać nie mogłem, prócz kawałka ciasta z cebulą i butelki kwaśnego wina. Za ten posiłek zapłaciłem siedm, wyraźnie siedm franków (3 złr.).

„Dwie rodziny, złożone z sześciu osób, zostały w tem miasteczku, by czekać na jaki statek, jadący do Europy. Już w połowie podróży skwitowali z bogactw brazylijskich i postanowili wrócić do swego kraju.

„Drugiego dnia o północy, korzystając z przypływu, podniesiono kotwicę i ruszyliśmy w dalszą drogę. Podróż stawała się coraz nudniejsza. Kiedy dojechaliśmy do równika, to jest do miejsca, gdzie słońce świeci wprost nad głowami, zaczęły nas prześladować naprzemian upały i ulewy tak silne, że u nas każdą z nich

nazwanoby oberwaniem chmury. Dopieroż był los jadących trzecią klasą.

„Polewki na talerzach wciąż im przybywało z nieba, nawet w czasie tych ulew nie mieli prawa schronić się wraz z jedzeniem do sypialni.

„W dniu, w którym przepłynęliśmy równik ziemi, to jest miejsce równo oddalone od obu biegunów — północnego i południowego, oficerowie i służba okrętowa urządzili sobie z podróżnych III-ej klasy zabawkę, zwaną „chrztem równikowym.“ Na pokładzie ustawiono ogromną beczkę, pełną morskiej, słonej wody. Na wierzchu beczki położono deskę, a na desce sadzano podróżnego, który pierwszy raz przepływa równik. I gdy on się tego wcale nie spodziewał, wyciągano z pod niego deskę; biedak wpadał do wody, zanurzając się z głową. Służba, otaczająca beczkę, nie pozwala kąpiącemu się wyjść z niej od razu, zanurzając go po kilkakroć. Taka zabawa trwała zbyt długo i zaczynała już nudzić, więc prócz beczki służba urządziła inny jeszcze przyrząd. Był to worek siedm łokci długi, z obu stron otwarty, przez którego wnętrze prześlizgnąć się musiał każdy, kogo minęła kąpiel. Przy wyjściu z worka stanęło dwóch ze służby z wężami od sikawek, i puszczali na czołgającego się silny prąd wody słonej wprost w oczy. Majtkowie, stojący po obu stronach worka, naciskali go, by utrudnić kąpiącemu się prędkie wyswobodzenie. Oficerowie, patrzący ze swej wzniesionej strażnicy, śmiali się do rozpuku, zaś naczelnik okrętu rozkazał wydać służbie po pół butelki wina, a skąpanym i przemokłym wychodźcom po garści orzechów. Zabawka ta z podróżnymi staje się dla niejednego trudną do zniesienia.



Głowa Chrystusa, rysunek Artura Grottgera.

„W 25-tym dniu od wyjazdu z Genui pokazał się ląd, a wkrótce potem dopłynęliśmy do przystani brazylijskiej pod miastem Bahją.

„Dwustu wychodźców z naszego okrętu wysiadło tutaj, aby osiedlić się w okolicach Bahji. Podróż z Bahii do Ryjo Żanejro, stolicy Brazylii, trwała morzem jeszcze dni sześć, a przez cały ten czas towarzyszyła nam tak silna burza, że wejście do sypialni III-ej klasy zostało zamknięte, a na pokładzie pozostawać było bardzo niebezpiecznie, gdyż woda go zalewała i pogrążała ludzi aż po szyję. Dwa dni byliśmy bez ciepłej strawy, gdyż gotować wprost nie mogli. Wiele znajdujących się na pomoście sprzętów, lodownię, kurniki i paki z włoszczyzną zabrała woda wprzód, zanim to wszystko zdążono przymocować. Majtkowie przy pracy przywiązywali się linami do okrętu, żeby ich woda nie zepchnęła.

„Nakoniec burza ustała, a jednocześnie ujrzeliśmy ląd. Okręt wpłynął pomiędzy skaliste wysepki, wśród których kręciliśmy się kilka godzin z całą ostrożnością, żeby się okręt nie rozbił.

„Około południa zatrzymaliśmy się naprzeciwko głównego szpitala, zbudowanego na wyspie zwanej Wielką. Ze szpitala na okręt przybyła komisya lekarska, przed którą kazano jak owce przepędzić wszystkich podróżnych. Kazano nam sześć dni siedzieć w okolicach szpitala. Powodem tej ostrożności było to, że w czasie drogi zmarło na naszym okręcie „Roma“ dwóch mężczyzn,

dwie kobiety i troje dzieci. Trupy, owinięte w żagiel, wraz z kilkoma kawałkami starego żelaziwa, wrzucone były do morza i poszły na dno; pogrzeb taki odbywał się bez żadnych obrzędów i zazwyczaj w nocy.

„Po tych sześciu dniach czekania i nudów ruszyliśmy w dalszą drogę. Podjechaliśmy jednak pod Ryjo Żanejro zbyt późno, więc statek nie mógł wejść jeszcze do przystani. Patrząc na odległe zaledwie o kilka wiorst miasto, rzęsiście oświetlone, wszyscy niemal spędzili noc na pomoście, z niecierpliwością i niepokojem zarazem oczekując ranka.

„Byliśmy 38 dni w drodze. Wszyscy żalili się na gorąco, chociaż podróżni, jadący na „Romie', byli Włochami, do ciepłego powietrza przyzwyczajonymi. W godzinę po spuszczeniu kotwicy nadjechały od brzegu lądu małe statki, które odwoziły podróżnych na ląd, a rzeczy nasze na komorę celną".

II.

Zanim opowiemy, jak tam było Nestorowiczowi w Brazylii, zobaczmy jak inny podróżnik, niejaki p. Dygasiński, tęsamą podróż opisuje. Są w tym opisie rzeczy o tyle ciekawsze, że Dygasiński jechał nie z Włochami, ale z naszymi braćmi z pod Moskala, którym w głowie coś zaświtało i myśleli, że w Brazylii będą mieli tyle złotych pieniędzy, co u nas miedziaków, że każdy dostanie przynajmniej pół wsi za darmo, a jadać będzie na srebrnych talerzach i kąpać się w winie.

Otóż ów Dygasiński taki list z okrętu napisał:

„Dnia 5-go listopada o godzinie 2-ej po południu wyruszył z Bremy, miasta nadmorskiego w Niemczech, koleją pociąg, wiozący wychodźców do przystani okrętowej; już przed 11-tą inny pociąg wywiózł ich też znaczną liczbę. Umieszczanie na okręcie trwało dwie godziny. Jest to okręt parowy, pod nazwą „München" (Monachium), jeden z największych statków bremeńskich.

„Zszedłem z pokładu na dół do izb na pierwsze i drugie piętro. Na każdem z tych pięter wiszą w dwa piętra rzędy łóżek z żelaznych prętów. Na każdem łóżku spoczywa jeden dojrzały człowiek (matka lub ojciec) i dziecko. Przejścia między łóżkami są tak wąskie, że minąć się trudno. Policzyłem te łóżka w pierwszym oddziale i znalazłem ich na górnem piętrze 250, na dolnem 190, czyli pomieszczenie przeszło na 800 ludzi, licząc w to dzieci. Takich oddziałów jest na okręcie trzy.

„Zaraz pierwszego wieczora wychodzący tu i owdzie na łóżkach ustawili obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i głośno odśpiewali „Gwiazdo morza, któraś Pana". W jednym kącie jakiś pyszałek znowu przechwalał się swoją znajomością tego, co to jest dobry statek parowy: „Ten na ocean nie pójdzie — mówił, za słaby na to; ja do Nordy Ameryki jeździł, to ściany były w dubelt i okna het w dubelt; a to wszystko miękkie, ocean jak huknie, rozleci się, ćwieki wypadną".

„Mieliśmy nazajutrz ruszyć w drogę, lecz mgła była nadzwyczajna, więc cały dzień przeczekaliśmy w przystani.

„Szukam między ludźmi na okręcie swoich znajomych i nie znajduję to jednego, to drugiego, choć wiem, że miał teraz właśnie jechać. O, bo w ostatniej chwili, przy wsiadaniu na okręt, niektórych już odeszła ochota do Brazylii. Jeden chłop z kaliskiego był już na pokładzie okrętu, lecz w żaden sposób nie chciał zejść na dół. Służba go spychała, on się bronił, nareszcie uciekł z okrętu na ląd".

„Przez cały dzień 6-ty listopada chodziłem, zabierając znajomości: „Zkąd ojciec?" — pytam i najczęściej odbieram odpowiedź: „z pod Mławy", „z pod Nieszawy", „z pod Słupi", „z pod Włocławka".

„Dnia 7-go listopada, gdy świtać zaczęło, okręt ruszył w drogę.

„Już pod wieczór tegoż dnia baby zaczęły się skarżyć, że im się we łbach kotłuje. Powstał wiatr, okręt zaczął tańczyć, woda wpadała aż na pokład, i zaczęła się sroga morska choroba. Dzień 8 listopada był niespokojny; fale miotały ciągle okrętem. Pochorowali się i ci, co dotąd wytrwali. Wszystkie kobiety mają głowy poobwiązywane, leżą wyciągnięte na siennikach, jęczą, przeklinają morze, Brazylię i chłopów, którzy je wyprowadzili z domów. Tylko gdzieniegdzie chłop jakiś trzyma się jeszcze tęgo.

„Gdy wszyscy wylegną na pokład, wtedy można po stroju mniej więcej poznawać okolice, do których emigranci należą. Nie widzisz tutaj tylko białej i brunatnej sukmany, równie jak białej magierki lub czerwonej czapki z barankiem i pawiem piórkiem.

„Za to spostrzegam oto krępego chłopa w szarej kurpiowskiej kapocie, oszytej czarną taśmą i zapinanej na dwa rzędy guzów, z kieszeniami na tyle. Gdzieindziej znowu uwija się chłop wygolony, w długiej granatowej sukmanie i czarnym kapeluszu. Jakiś starzec chodzi w kożuchu z siwych baranów i z ogromnym kołnierzem futrzanym na plecach. Jest to ojciec rodziny, liczącej głów szesnaście; wygląda na człowieka, co zawsze był rozsądny w życiu; teraz dopiero strzelił bąka, ale dobrego. Dalej nieco w drelichowej marynarce i takichże spodniach, w kaszkiecie wytartym, zwieszonym na tył głowy, z szyją grubo owiniętą w szal włóczkowy i papierosem w ustach, umizga się do dziewczyny parobek dworski. W niskim i sztywnym kapeluszu bronzowym, w surducie, z rękami w kieszeniach od spodni, stoi rzemieślnik większego miasta. Inny jakiś emigrant przesuwa się w bardzo obszernym granatowym płaszczu z wielką peleryną i w czarnym kapeluszu. Tam znowu widać baranią czarną czapkę i czerwone rękawy koszuli, wyglądające z pod kaftana.

„Lekarze okrętowi mówią o tych ludziach, że są zdrowi i dobrze zbudowani; za to kobiety po większej części wątłe i słabe. Pomiędzy dziećmi panuje na okręcie wielka śmiertelność. Z dolnych pięter trudno wyprowadzić matki z dziećmi na pokład, na świeże powietrze. Te baby wolą duszne i cuchnące powietrze na spodzie okrętu.

„Zauważyłem, że wszyscy chłopi są dobrymi mężami i ojcami. Jak oni dbają o swoje chore żony, jak pielęgnują dzieci! Ojców zawsze spotkać można z dziećmi na rękach lub na kolanach. Ale baby są nadzwyczaj nieporządne: nie myją się, nie czeszą się, leżą na łóżkach wśród mnóstwa gratów i kawałków żywności. Bóg wie, co się znajduje na tem okrętowem łóżku, oprócz ciał ludzkich! Pożywienie naszym ludziom nie smakuje, bo sposób gotowania jest inny. Im dalej jedziemy, tem coraz mniej dobrego ludzie się spodziewają znaleść w Brazylii.

„Już po napisaniu tego listu, wdałem się w bardzo ciekawą rozmowę z oficerami okrętu. Z tego, co oni mi opowiadali, widzę, że wielkie nieszczęście czeka w Brazylii naszych rodaków. Od chwili, jak przeszli granicę kraju naszego, stali się własnością wyzyskiwaczy brazylijskich, nie mających rąk do uprawy trzciny cukrowej i kawy! To wszystko, co dostali, to jest wolny przejazd koleją lub na okręcie, co zjedli i wypili, przyjdzie odpokutować zupełną utratą wolności. Wyślą ich w okolice puste, może błotniste, gdzie panuje żółta febra.

„Co można najgorszego tylko, dziś się dopiero dowiedziałem, kiedyśmy już daleko odpłynęli. Dotąd wszystko oficerowie ukrywali przed nami. Nie wyobrazicie sobie, jak mię te wiadomości zmartwiły!

„Gdyby morze przestało się tak gwałtownie poruszać, tobym jeszcze więcej pisał. Ale okręt nadzwyczajnie się kołysze, wszystko spada na ziemię, a ja sam ledwie się trzymam na nogach, niema podobieństwa pisać. Mamy ciągle wiatr północny, który wieje szalenie od samego przejścia między Francyą i Anglią.

„Dokładna liczba wychodźców na okręcie naszym jest 2650; są to rzemieślnicy, parobcy, bardzo mało rolnych chłopów. Chorobę morską, prócz mnie, przeszli wszyscy prawie. Jęk rozpaczy, wymioty rozlegały się przez cztery dni na wszystkie strony.

„Nic już więcej nie piszę, bo i to ledwie mogę skończyć“. *(C. d. n.)*

Chłop i dyabeł.

Dziwiąc się dyabeł zmyślnej chłopa głowie
Zaczął i dumać i marzyć.
Ot! wiesz co, chłopie, tak do niego powie:
Pójdźmy razem piwo warzyć.

Pójdźmy! rzekł Szymczak — i już kocioł grzeje,
Na tęgie piwo się sadzi:
Warzy i warzy, miesza — spuszcza — leje,
I ot cały war już w kadzi

Dzielmyż się teraz, dyabeł się odzywa,
Szymczak działu nie odmawia:
Dzielmy się rzeczą, i wierzch bierze piwa
A dyablu drożdże zostawia.

Źle coś! czart woła, zmieńmy więc umowę;
Posiej mi ziarno na grzędzie!
Ty sobie spodnią zabierzesz połowę,
A co z wierzchu, mojem będzie.

Sieje więc chłopek na wspólne korzyście,
Wschodzi, rośnie, plon wzbujały.
Przyszło do działów, dyabeł dostał liście,
A rzepy chłopu zostały.

Czarcią, rzekł dyabeł, masz chłopie naturę;
Widzę, że jesteś mądrzejszy:
Lecz jeszcze jedno: — rzucajmy się w górę,
A ujrzym, kto z nas mocniejszy.

I porwał, schwycił, i z takim zamachem
Śmignął go łapy silnemi,
Że chłop z pięć sążni uleciał nad dachem,
Nim go czart schwycił przy ziemi.

Tęgiś chłop rzeknie, zbladły i zdyszony,
Myślałem, że już nie wrócę;
Lecz teraz kumie, pójdźno w moje szpony,
Niech i ja ciebie podrzucę.

I w pas go bierze i za róg pochwyca,
I tak go w dwojgu rąk trzyma;
Lecz zamiast rzucić — nagle w twarz księżyca
Wrytemi patrzy oczyma.

I patrzy, patrzy, a nasz czart się dziwi,
Choć dyabeł, — pojąć nie zdoła:
A wreszcie gdy się znudzi, zniecierpliwi,
„Czego tam ślepisz?“ — zawoła.

Ślepię, rzekł Szymczak, bo wprzód rzeczy ważę,
Nie chcę cię rzucać daremnie:
Czekam, aż się tam mój tatuś pokaże,
Co cię odbierze odemnie.

Co!? ryknie dyabeł, czyś głupi? szalony?
Wydarł się z ręku Szymczaka,
I jakby wodą święconą sparzony,
Aż w piekło urżnął drapaka.

F. M.

Rady gospodarskie.

Pielęgnowanie nawozu w zimie, młocka, słoma.

Do najważniejszych zajęć zimowych należy staranne pielęgnowanie nawozu, ażeby nic z niego nie stracić i utrzymać w takim stanie, w jakim on najpożyteczniejszym jest dla roli.

Największe straty ponosimy w nawozie, gdy odpływa z niego gnojówka, która zawiera w sobie najwięcej cząstek służących roślinom jako pożywienie, również gdy nawóz rozgrzewa się zbytecznie, gdyż wtedy uchodzą z niego części lotne, które czujemy przy przykrym wyziewie. Są one bardzo potrzebne, ponieważ obracają się także w pokarm dla roślin, gdy dostaną się do ziemi, i to w jeden z najkosztowniejszych, gdybyśmy ubytek jego zastąpić chcieli nawozem kupnym, czyli handlowym. Musimy więc dołożyć starania, by strat tych nie było, a leży to zupełnie w naszej mocy.

Jeżeli stajnia jest obszerna i wysoka, to najlepiej przechowa się nawóz pod bydłem, które go ciągle tłoczy. Zatrzymuje on wtedy gnojówkę, nie rozgrzewa się zbytecznie i nie paruje. Rozumie się samo przez się, iż trzeba wtedy słać nie zbyt skąpo, tak dla czystego utrzymania bydła jak i dla zatrzymania gnojówki; nanależy także równać nawóz, podsuwając go pod przednie nogi bydląt, ażeby wszędzie leżał w jednej grubości i był należycie deptany; nareszcie trzeba podnosić żłoby w miarę, gdy bydło stoi coraz wyżej. Stosownie więc do wielkości stajni trzyma się w niej nawóz tydzień, dwa lub i miesiąc cały, poczem dopiero wyrzuca się go na gnojownicę.

Tu z większą jeszcze troskliwością trzeba pielęgnować nawóz, ażeby jak najmniej straty w nim ponieść. W znacznym stopniu ułatwia to nam dobre urządzenie gnojówki, gdy jednak w czasie zimowym zakładać jej na nowo nie możemy, więc pomówimy o tem w chwili stosownej, obecnie zaś całe staranie nasze zwróćmy do dwóch rzeczy, t. j. ażeby gnojówka nie odpływała i żeby mierzwa nie przepalała się. Odpływowi gnojówki zapobiec możemy, dając półokrągłą grobelkę z ziemi po niższej stronie gnojowni, a zabezpieczając ją takąż grobelką lub rowem od strony, z której obawiać się możemy dopływu wody w razie większego deszczu, lub raptownego topnienia śniegu. Czynność tę wykonać można przy pierwszej silniejszej odwilży, choćby przyszło i kilofem ziemię rąbać, bo gnojówka stanowi bogactwo rolnika, a gdy woda duża spłynie na gnojowisko, to wypłucze mierzwę ze wszystkich pożytecznych części i uniesie je wraz z gnojówką do rowów i rzeki.

Ażeby ustrzec mierzwę od przepalenia się, trzeba układać ją na gnojowisku równo i nie zbyt grubo, w każdym razie na wyżej 2 łokci, tłocząc po każdym wyrzuceniu ze stajni i wyrównaniu, oraz polewając gnojówkę o tyle, by nawóz był zawsze średnio wilgotnym. Celem stłoczenia nawozu dobrze jest przepędzać przez gnojowisko bydło, gdy wychodzi do wody lub wraca do stajni, co będzie o tyle łatwiejszem, gdy rzucimy tam garstkę świeżej paszy, przy której bydło chętnie zatrzyma się.

Jeżeli mamy w pogotowiu suchą i miałką ziemię, to posypywanie nią nawozu o tyle przynajmniej, by słomy widać nie było, jest zawsze bardzo pożyteczne, a powtarzać to można za każdem podniesieniem się nowej warstwy o 1 lub półtorej stopy. Ziemi mokrej nie należy dawać na nawóz.

Dalszą czynością w zimie jest młocka zboża, która nie jest, jakby się to zdawać mogło, zatrudnieniem niewymagającem większego zastanowienia się. Nie dosyć jest omłócić snopki dokładnie, by żadnego w nich ziarna nie zostawić, lecz trzeba przedewszystkiem postanowić, które zboże przeznaczamy na siew, gdyż omłot jego musi być nieco odmienny.

Zbiór nasz pochodzi zwykle z rozmaitych, często bardzo odmiennych pól; jedno zboże sprzątniemy przy dobrej pogodzie, inne po długiej słocie, na niektórych parcelach wyległo ono i ma ziarno nikłe, na drugich było rzadsze, lecz za to bardzo kłosiste i z pięknem ziarnem. Do siewu przeznaczyć powinniśmy zboże najlepsze, najplenniejsze, niewyległe, zebrane sucho, o ziarnie grubem, dobrze dojrzałem i niezrośnięte.

Młócenie tego zboża, które przeznaczyliśmy na nasienie, powinno być nie zbyt silne, by ziarno nie zostało przetrącone lub rozbite cepem, gdyż wtedy, a nawet często po lekkiem tylko pęknięciu, nie będzie już ono kiełkować i wschodzić. Rzucamy więc je niepotrzebnie w ziemię, a dziwimy się, że mimo dosyć gęstego siewu zboże powschodziło rzadko. Ponosimy przytem podwójną szkodę, bo zboże jest mniej gęste aniżeli być powinno, i straciliśmy owe ziarna rozbite, które przydałyby się do zmielenia na mąkę lub na inny użytek. Dla uniknięcia tych strat najlepiej jest przemłócić to zboże najprzód lekko, czyli przeokłotować snopki, zebrać nasienie osobno, przeznaczając je do siewu, a dopiero następnie omłócić już dokładnie resztę ziarna, które przeznaczy się do innego użytku.

Przy omłocie zboża zwrócić również należy uwagę na gatunek słomy, by wiedzieć którą przeznaczyć na paszę, a którą na ściółkę i składać je osobno.

Pożywniejszą jest słoma ze zboża ozimego, smaczniejszą zaś z jarego, szczególnie słoma jęczmienna; jedną jednak i drugą użyć można jako paszę, jeżeli jest zdrową, pochodzi ze zboża nie zbyt wybujałego lub wyległego, nie leżała długo na słocie, a zebraną została sucho i nie spleśniała w stodole. Wśród słomy zdrowej najlepszą jest taka, w której znajduje się koniczyna lub trawy, które czynią ją smaczniejszą i po-

żywniejszą, a chociaż przymieszka tej trawy dowodzi, że zboże nie było dosyć czystem i gęstem, to przecież choć część straty, jaką ponieśliśmy wskutek tego w zbożu, wyzyskać należy przez spasienie tej słomy bydłem.

Gdy wszystka słoma jest dobra i przydatna do paszy, to zakłada się ją najprzód za drabiny lub do żłobów, ażeby bydło przebrało i wyjadło części najlepsze, a dopiero pozostałą resztę używa się jako ściółkę.

Jeżeli słomy jest zbyt mało, a mamy dostateczną ilość innej ściółki, pochodzącej z lasu czy z torfu, w takim razie okazać się może konieczność spasienia nawet słowy mniej zdrowej. Nie można jednak używać jej w ten sposób jak opisaliśmy powyżej, lecz trzeba pokrajać na sieczkę i sparzyć dobrze gorącą wodą, by zniszczyć pleśń, która szkodliwą jest zdrowiu zwierząt i staje się przyczyną wielu ich chorób. Do parzanki takiej dodać należy nieco soli, otrąb lub buraków, by uczynić ją smaczniejszą.

NOWINY.

— Ludność miasta Poznania wynosi ogółem 69.693.

— Węgrzy czynią już przygotowania do uroczystego obchodu tysiącznej rocznicy przybycia do Europy. Rocznica ta ma być obchodzoną w roku 1892.

— Rosyjski minister spraw wewnętrznych zarządził, iż wszystkie osoby które się trudnią namawianiem do emigracyi do Brazylii, mają być wysłane na lat kilka do wojskowych kolonij karnych.

— Straszny przypadek wydarzył się w dniu 3 stycznia w kopalniach w Ostrawie polskiej. W szybie św. Trójcy nastąpił wybuch gazów. Ze 400 robotników, znajdujących się podówczas w szybie, trzystu kilkudziesięciu zdołało się schronić do szybów sąsiednich. Dotychczas wydobyto 57 trupów.

— W Peszcie załamał się lód na Dunaju wskutek czego wpadło 18 osób do rzeki, wszystkie jednak zdołano wyratować.

— W Bukowsku otworzono w dniu 27 grudnia czytelnię ludową. Po odprawionem nabożeństwie udali się zebrani do czytelni, gdzie ich powitały dzieci pięknem odśpiewaniem kolędy. Po przemówieniu ks. proboszcza Jana Stocha i p. Kazimierza Rodkiewicza przewodniczącego Kółka rolniczego, zabrał głos włościanin Adam Majdecki i podziękował poprzednim mówcom za zajęcia się sprawą czytelni, krakowskiemu zaś Towarzystwu Oświaty za nadesłanie znacznej ilości książek pożytecznych.

— W Poznaniu, na dworcu kolejowym, zaszedł straszny wypadek zgruchotania paru wagonów, napełnionych ludźmi. Jedni twierdzą, że powodem nieszczęścia było pęknięcie koła i osi, inni znowu, że spotkanie pociągu z maszyną. Śledztwo zapewne wykaże powód rzeczywisty. Dosyć, że nieszczęście wielkie; 17 osób poniosło lżejsze lub cięższe rany. Śmierć natychmiastową poniósł Antoni Kozłowicz z Inowrocławia, który z Pomorza, gdzie obecnie mieszka, z 12-letnią córeczką wracał z zaręczyn swej siostry. Rannych po części odwieziono do zakładu Dyakonisek, dwóch żołnierzy do lazaretu wojskowego.

— *Nadgoplaniec* donosi, że w okolicy Strzelna, w Poznańskiem, nadeszły wiadomości od emigrantów brazylijskich. Wybuchła pomiędzy nimi już żółta febra i pochłania liczne ofiary.

— Kilkuset kupców polskich postanowiło starać się u rządu austryackiego, aby wszedł w umowę z rządem rosyjskim co do budowy drogi żelaznej między Miechowem a Krakowem.

— Spłonął doszczętnie w okolicach Muhu parowiec chiński, na pokładzie którego znajdowało się 200 ludzi: wszyscy stali się ofiarą strasznego żywiołu.

— Obliczenie ludności Wiednia wykazało, że w d. 31-go grudnia było w stolicy monarchii 809.443 ludności, a z wojskiem i mieszkańcami zabudowań dworskich 865.463.

— Dnia 7 stycznia o godzinie 8-ej min. 2 wieczorem w Janjiciej pod Zenicą w Bośni dało się uczuć silne trzęsienie ziemi, któremu towarzyszyły grzmoty podziemne. Zjawisko trwało trzy sekundy; szkody przez nie nikt nie odniósł.

Rozmaitości.

Gdzie to niema gazetek polskich. Biedni robotnicy polscy, którzy wywędrowali aż do Westfalii w Niemczech, i tam ciężko na kawałek chleba pracują, nie chcąc czytać gazet niemieckich, a chcąc mieć swoją własną, któraby im o ich sprawach mówiła, założyli w mieście Bochum pisemko, pod tytułem *Wiarus polski*. Wychodzi on trzy razy na tydzień, a jako szczerze przywiązany do wiary katolickiej i narodowości polskiej, może wiele dobrego zdziałać dla naszych braci rozrzuconych po kraju niemieckim.

W Poznaniu zaczęła wychodzić z dniem 1go stycznia 1891 r. gazeta Towarzystwa wstrzemięźliwości p. t. *Pobudki do szerzenia wstrzemięźliwości*.

Na polach Gniewkowa w Poznańskiem, zmarzła kobieta z Królestwa pragnąca się dostać „pieszo“ do Bremy, a ztamtąd do Brazylii. Dwoje jej dzieci, zupełnie skostniałych, przywołano do życia; opowiadały one, że matka usiłowała je udusić, żeby nie pomarły śmiercią głodową, lecz nie miała już sił do tego zbrodniczego czynu.

Czy wróble są pożyteczne, czy szkodliwe? różnie o tem mówiono i do dziś dnia mówią. W Ameryce przed 40 laty jeszcze ani jednego wróbla nie było, a ponieważ rolnicy amerykańscy narzekali na ogromną ilość owadów niszczących im zboża i sady, przeto

w r. 1850 sprowadzono pewną ilość wróbli z Europy. W dwa lata później i w roku 1858 sprowadzono ich jeszcze znacznie więcej. Z początku wróble mało się mnożyły, później jednak zagnieździły się wszędzie tak w krajach zimnych jak i najbardziej gorących. Otóż obecnie, jak dawniej mile tego gościa przyjmowano, tak teraz chcą się go pozbyć. Departament rządowy rolnictwa Stanów Zjednoczonych amerykańskich, otrzymał sprawozdanie od swojego członka Merriama, które dowodzi, jaką szkodę przynoszą wróble Ameryce. Naprzód wypędza on ptaki miejscowe, niszcząc ich jajka i zabijając pisklęta, przezco przynosi szkodę ogrodom i sadom, gdyż ptaki te zjadały owady i pewne rodzaje szkodliwych gąsienic, których wróbel nie jada. Za to na wiosnę wyjada wróbel z pączków zawiązki owoców, na czem cierpią brzoskwinie, gruszki, śliwki, wiśnie, jabłka, morele i winogrona. A kiedy owoc już dojrzeje, dalej wróbel znowu na niego. Sałata, groch, buraki, rzodkiewka, kapusta, kalafiory, fasola, wciąż tak są niszczone przez wróbla, iż amerykanie są zmuszeni nakrywać grzędy ogrodowe siatkami. Żaden owad lub szkodliwe grzyby nie niszczą w tym stopniu winogron, jak to czyni wróbel; ztąd muszą amerykanie pokrywać grona winne torebkami papierowemi, choć i to nie zawsze pomaga, gdyż sprytni smakosze przedziurawiają często torebki. Ale jeszcze większe szkody niż ogrodnikom przynosi wróbel rolnikom amerykańskim. Pożera on ziarna tak miękkie, jak już i dojrzałe a niekiedy tak pustoszy w polu, że pozostaje tylko słoma do zbierania. Jak się zaś wróbel rozrodził w Stanach Zjednoczonych dowodzi świadectwo niejakiego Platta, który strzeliwszy do stada wróbli zgromadzonego na snopach zboża, z jednej lufy zabił sztuk 54 a z drugiej 35. I wiele jeszcze innych rzeczy szeroko opowiada o wróblu ów p. Merriam, a kończy swoje sprawozdanie wnioskiem, aby wydano odpowiednie przepisy tępienia tak szkodliwego ptaka.

Jak poznać można czy krowa jest cielną. Jeżeli jałowica nie miała jeszcze cielęcia, uciągnie się jej z wymiona kilka kropli wilgoci, i próbuje palcami: jeżeli ta wilgoć jest lepka mażąca i ciągnąca się, w tedy jałówka z pewnością jest cielna. Co do starszych krów, od tych kilkanaście kropli świeżo udojonego mleka puszcza się do szklanki świeżej wody; jeżeli puszczone krople mleka opadają na dno we wodę, znakiem to będzie, że krowa jest cielna, jeżeli zaś rozpływają się we wodzie, jakby małe obłoczki, to jest jałowa.

Podwójna śmierć. W Fetpicz pod Raab zmarła 65-letnia kobieta, Fanny Pfeiffer; przy trumnie pozostawiono jednego człowieka dla pilnowania. Około 10-ej wieczór zmarła poczęła się ruszać i podniosła się z trumny, stróż naturalnie uciekł w najwyższym stopniu wystraszony. Zmartwychwstała poszła do sąsiadów i zapukała do drzwi, prosząc, aby ją wpuszczono, bo jest jej zimno. W śmiertelnej trwodze otworzono drzwi, zaledwie jednak usiadła przy piecu, poczęła się chwiać i wkrótce na dobre już tym razem umarła. Wypadek ten wywołał niesłychane wrażenie w okolicy.

Mądra majstrowa.

— Cóż ci to mój mały?

— A bo proszę pana latam ze dwanaście razy na dzień do szynku po wódkę i to za każdym razem do innego.

— A to dlaczego?

— Majstrowa tak każe, żeby się ludzie nie domyślili, że majster pijak.

W lesie.

Strzelec. Hej chłopcze! nie widziałeś czasem przebiegającego zająca?

Chłopiec. Widziałem.

Strzelec. Dawno?

Chłopiec. Temu trzy lata, było to jakoś około św. Marcina.

Zagadka.

Jestem sobie wojak bez głowy bez gęby,
Jak idę na wojnę to mi ostrzą zęby,
Nie biorą mnie do ręki panowie i panie,
Lecz ściskają mnie za to przy pracy włościanie.
Z tego co zabiję w całodziennym trudzie
Mają się czem karmić przez cały rok ludzie.
Po skończeniu wojny długo odpoczywam:
Odgadnijcie proszę, jak ja się nazywam.

Znaczenie zagadki w Nrze 1-szym: *Dzwon.*

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 9 stycznia.

Płacono za pszenicę białą od 8.75 do 9.— złr., za czerwoną od 8.60 do 8.90 złr., za żółtą od 8.60 do 8.85 złr.; za żyto od 6.90 do 7. 5 złr.; za jęczmień browarny od 6.75 do 7.50 złr.; na paszę od 6.— do 6.20 złr.; za owies od 6.20 do 6.50 złr.; Rzepak od —.— do —.–. Wszystko za 100 kilogramów.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu X. we Lwowie. Dziękujemy serdecznie za życzliwość. Uwaga co do korespondencyj słuszna, ale jak Szanowny Pan widzi, co innego rozumiemy pod korespondencyami, aniżeli Pan sądził. Nasze korespondencye będą tylko takie, jak z Bytomia w Nrze 1-szym. Rady lekarskie dajemy w rubryce „Rozmaitości“. O „gry towarzyskie“ postaramy się. Trudniej będzie z komedyjkami.

Janowi Siwkowi w Niepołomicach. Bóg zapłać za dobre słowo. My sami posłaliśmy pierwszy numer, bo o dobrych ludziach wiemy i chcemy im pokazać, co robimy. Zagadka dobrze rozwiązana.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W drukarni „Czasu“ w Krakowie Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.